



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebora i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20

## POGA WĘDKA.

Słynna niegdyś zima polska stała się od lat paru zupełnie niewypłacalną. Owe piętzące się góry śniegu, skrzące pod zimnemi i nieczułem promieniami styczniowego słońca, owe obawy „ruszenia lodów“ po rzekach, napełniające dawniej co wiosnę nadbrzeżnych mieszkańców, owe wreszcie historie o zmarłych biedakach, przynaglonych jakąś potrzebą do wędrówki podczas „siarczystego mrozu“.—wszystko to należy już dziś w znacznej części do przeszłości. Dorastająca generacja, czytając też podobne opisy, lub choćby patrząc na ów świetny a znany powszechnie obraz Chelmońskiego, przedstawiający pędzące ostatnim wysiłkiem konie, zaprzęzione do sanek, na których w siedzącej jeszcze pozycji i z lejcami w skostniałej dłoni, ale już tylko trup zmarzniętego woźnicy pocztowego spoczywa, będzie mogła wkrótce zapytać pesymistycznie: „Czyż kiedy tak było? Ileż to lat temu zająć mógł podobny wypadek?“

Zle to ze względu na historią i tradycją, zle dla powieściopisarzy i nowellistów współczesnych, którzy mając może na palcu gotowe farby do malowania srogości naszej zimy, muszą je albo zachować na „lepsze czasy“, lub też, chcąc wywrzeć właściwe wrażenie, ściśle niemal oznaczać termin przedstawianych wydarzeń; dobrze natomiast dla tych, którzy przy wielu gniotących biedach nie potrzebują przynajmniej troszczyć się o powiększanie porcy opału na swoich poddaszach, co wogóle przyszłoby im z niemałą trudnością, a to z tej racji, że może i obecnie nawet nie mają czem ogrzać dostatecznie ubożego mieszkanca.

A jednak zima nasza, specjalnie zaś warszaw-

ska, wywinęła się jakoś w tym roku od zupełnego bankructwa. Właśnie bowiem przed tygodniem, gdy już zapewne niejeden oddawał się tym pesymistycznym poglądom lub (jak np w ostatnim ze wspomnianych przez nas wypadku) pocieszającym nadziejom—zima wypuściła dla chwilowego zaspokojenia swych wierzytelności nową seryą assygnat, w postaci obfitej ilości płatków śnieżnych. Dzięki im usłała się wyborna sanna, pociągi kolei żelaznych poczęły się opóźniać o całe godziny, a tramwaje w mieście naszym, walcząc o prawidłowość swojego ruchu, zmuszone były użyć setek ludzi do zgarniania z ulic śniegu, rozlać na szyny kilkanaście stągwi nafty i rozsypać kilkadziesiąt centnarów soli. Zaprzęgano zamiast jednego aż po trzy rumaki do wagonu; jednak mimo tych wysiłków ruch był znacznie ograniczony, a na niektórych liniach musiał być zupełnie wstrzymanym. Na pociechę zaś, jeśli wogóle to, że ktoś równą z nami biedę przechodzi, może być pociechą, przyniosły nam depesze wiadomość, iż nie lepiej dzieje się w całej Galicji, w Wiedniu, a nawet i w niektórych południowych stacyach klimatycznych.

Świadczy o tem, między innymi, list niestrudzonego twórcy naszej literatury powieściowej, J. I. Kraszewskiego, który opuściwszy wilgotne mury Magdeburga, szuka obecnie w San-Remo pokrzepienia dla swych sił nadwątlonych. Celem listu tego, ogłoszonego w jednym z pism tutejszych, była przestroga dla chorych naszych, aby bez porady i rozważań nie przyjeżdżali obecnie do Włoch dla przezimowania, gdyż zima tegoroczna zaliczana tam jest do wyjątkowo srogich. W dniu 5 b. m., padał w San Remo „śnieżek z krupkami“, który lubo nie utrzymał się długo, poczynił jednakże w roślinności miejscowej niemałe spustoszenia, w każdym zaś razie dla chorych piersiowych mógł i musiał stanowić wcale niemiłą niespodziankę. A ten Kraszewski, skołatany tyłu przejściami i zapracowany, przecież

jednak pamiętający o wysłaniu do kraju owego liściku z przestrogą—darujcie!—gdym pisma jego nie miał był sposobności oglądać na własne oczy, stanowiłoby to dla mnie coś bajecznego, nieprawdopodobnego!

Równocześnie z owem, choć częściowem, przebudzeniem się zimy z jej snu kilkoletniego, ożywił się u nas i ruch karnawałowy, lubo dotąd bawimy się przeważnie tylko prywatnie, w zamkniętych kółkach. Wyjątkiem był dotychczas „bal panieński“ w Resursie Kupieckiej, który ściągnął około 250 osób i udał się wybornie. Na inne bale publiczne dość jeszcze mamy czasu, a zapewne powinno go starczyć i na zaniechanie jednego z rzuconych świeżo projektów, mianowicie urządzenia w salonach Ratusza publicznego „balu dziecięcego“, na którym dorośli mieliby wystąpić jedynie w charakterze opiekunów, malcy zaś tańczyliby zawzięcie. Wprawdzie dochód z tego „balu“ przeznaczony ma być na cel dobroczynny; sądzymy jednakże, iż nawet pod tą filantropijną pokrywką pedagogia nigdyby projektowi temu przyklasnąć nie mogła i nie powinna. Pojmujemy wyjątkowo balik dziecięcy prywatny, w gronie krewnych i znajomych, lub zabawę zbiorową szkolną pod dozorem nauczycieli; ale przyzwyczajając dziecko do krępowania się publicznego byłoby, według nas, zgola niewłaściwem. Ten „kawaler“ i ta „panienka“ którzy mają na własnym balu w Ratuszu prawie sobie grzeczności, prezentować swoich przyjaciół i przyjaciółki i zapraszać się wzajemnie do tańca: toż to czysta parodia, a wcale nie zabawna, bo moralnie szkodliwa. Wszakże już i bez publicznych balów dziecięcych moda zanadto po macoszemu obchodzi się obecnie z młodą generacją, przyzwyczajając dzieci do zbytku w strojach lub wręcz szkodząc ich zdrowiu (krótki wzrok, wąskie piersi i t. p.), czyż więc potrzebujemy dopomagać jej jeszcze podobnemi, jak powyższy projekt dziwolągami?..

Tem zaś niestosowniejszem wydaje nam się obecne jego podniesienie, że właśnie w urzędowaniu domowych zabaw „dla dorosłych“ zaczęła się nareszcie przebijać powszechnie pewna oględność, nader chwalebna, a dotycząca zarówno kosztów przyjęcia gości, jak i strojów biesiadników, gdyż co do mężczyzn, oddawna już frak zrównał i zdemokratyzował ich szeregi, nie pozwalając na wybryki w tym kierunku i szkodliwą rywalizacją. Otóż stroje tancerek, mimo braku co do nich owego modnego nacisku, bywają obecnie coraz skromniejsze i jeżeli walczą z sobą o lepsze, to przeważnie pod względem gustu, a takie wysiłki są nawet wcale pożądane.

Podobnie też, jak przed dwoma laty „wieczorki wełniane“, tak w obecnym karnawale zainaugurował ktoś „kawy tańczące“, które oprócz zysków z oszczędności na wystawnej kolacji z majonezami i winami mają jeszcze i tę dobrą stronę, że zabawa rozpoczyna się wcześniej („kawa“ bowiem oznacza tu „podwieczorek“), a więc i kończy się nie późno, nikt zatem nie potrzebuje spędzać nocy bezsennie, i higiena, naturalnie, nie już nie ma zabawy takiej do zarzucenia. Że zaś na „kawie tańczącej“ można się równie dobrze zabawić, jak na „herbatce“ podobnej lub „całym“ balu—o to zapewne żadna z naszych czytelniczek spierać się nie będzie; bezwątpienia bowiem we wspomnieniach swych znajdzie niejedną wyborną, choć zaimprovizowaną na poczekaniu, zabawę, o której opowiadała nazajutrz: „wytańczyłam się, jak nigdy!“ Należałoby więc ten dobry pomysł rozpowszechnić, zasługując bowiem na to z wielu względów, a łatwo przyjąć się może (jak każda nowość), jeśli tylko panie zechcą wystąpić w roli jego protektorek. A protektorstwo takie może być nawet bardzo zaszczytnem, bo czynionem z głębszą myślą, tą mianowicie, że cokolwiek wydrzemy teraz samym sobie na rzecz oszczędności domowej lub zdrowia własnego, to—zostawimy przyszłości: warto więc nad tem pomyśleć...

\* \* \*

Czy wyobrażasz sobie, czytelniku, popsuty niemało postępani cywilizacji, miasto większe bez straży ogniowej? Zapewne trudno ci to przychodzi, jak również nie możesz pojąć, jakim sposobem dawniejsi mieszkańcy Warszawy, z przed czasów Księstwa Warszawskiego, mogli zasypiać spokojnie bez tej ratunkowej instytucji. A jednak tak było. Dopiero bowiem za czasów Księstwa zorganizowano w Warszawie jaką taką obronę przeciw pożarom; poustawiano na rogach ulic wielkie kadzie napełnione zawsze wodą i nakazano obywatelom miasta wyprawiać służbę swoją na miejsce pożaru. Było to już wiele, ale, naturalnie, nie wszystko, i liczne braki tej organizacji coraz bardziej ze wzrostem miasta uczuwać się dawały.

Zrozumiał to niejaki Rudnicki, obywatel mający domek swój na Lesznie, i póty przemysłował, póty się kręcił, starał i kołatał, aż nakoniec po dwuletnich zabiegach wydelegowano w r. 1834 kommisją do zbadania jego projektu, w następnym roku zatwierdzono go i ostatecznie w dniu 1 Stycznia 1836 r., otwarto cztery pierwsze oddziały straży ogniowej (Nalewki, Nowy Świat, Ratusz i Praga); piąty zaś przy ulicy Chłodnej (w Koszarach Mirowskich, które w r. b., znikną zupełnie z powierzchni miasta) powstał dopiero w r. 1852.

Tak więc w dniu 1 Stycznia r. b. upłynęło 50 lat istnienia warszawskiej straży ogniowej, której jubileusz święczony był uroczystie. Publiczność tutejsza, wiedząc doskonale, iż straż ta, zawdzięczająca powstanie swe nawoływaniom jednego człowieka, niosła w ciągu owych lat pięćdziesięciu ratunek aż w 2843 pożarach, (z tych 63 bardzo wielkich), zmanifestowała pośredni swój udział w obchodzie nader pięknym czynem. Oto, idąc za odezwą „Kuryera Porannego“, złożyła przeszło 4000 rs. na kasę pomocy dla strażaków, której dotąd korporacja ta nie posiadała, mimo iż właśnie ona kasę taką, oddawna mieć powinna; nie ma bowiem roku, w którymby nie dostarczała ogółowi paru kalek, niezdarnych, nietylko do dalszej służby, lecz i do jakiejkolwiek bądź

pracy. Ta zaś pamięć, ta gorliwość, z jaką śpieszono ze wspomnianymi ofiarami, chwali się sama i kommentaryjnie nie potrzebuje.

Z ciekawej statystyki działalności warszawskiej straży w ciągu półwiekowego jej istnienia, warto przytoczyć, iż początkowo liczyła ona 235 samych szeregowców (bez officerów), dziś zaś liczy ich 345, czyli, że stosunkowo do wzrostu miasta niewiele zwiększyła dotąd swoje szeregi. Niemniej interesującym jest fakt, iż liczba pożarów zaś mnoży się w prostym stosunku do rozwoju miasta. Oto liczby lat codziennych: w roku 1836 było 29 pożarów, w 1846—31, w 1856—54, w 1866—59, 1876—94, wreszcie w r. 1880 już 120 i w roku ubiegłym (do d. 1 Listop.) 108 pożarów. W ciągu owych lat pięćdziesięciu kierowało strażą siedmiu naczelników i 14-tu brandmajstrów, jeden zaś tylko strażak, niejaki Antoni Chudziński, rozpoczynając służbę w pierwszym roku istnienia straży, doczekał w szeregach jej obecnego jubileuszu.

Właściwy obchód jubileuszowy nosił podwójną cechę: urzędową oraz prywatną, rozpoczętą nabożeństwem w kościele archikatedralnym, a zakończoną wspólnymi biesiadami strażaków i tańcami w każdym z pięciu oddziałów. Niszczący żywioł dał też w dniu tym wytechnąć swoim pogromcom i nie zakłócił ich zabawy żadnym nowym buntem. Solidarność zaś i braterstwo wszystkich korporacji strażackich znalazły swój wyraz w obfitej paczce telegramów gratulacyjnych, jakie nadeszły od staży: z Kalisza, Łowicza, Łodzi, Skierzwic, Warty, Konina, Piotrkowa, Zgierza, Zawiercia, Łomży, Zduńskiej Woli, Zgierza i Szczuczyna, oraz z zagranicy: z Berlina, Wiednia, Pragi, Londynu, Krakowa, Lwowa i Poznania.

Czesi zakończyli swój telegram okrzykiem: „Na zdar!“ Nie pozostaje nam, jak tylko okrzyk ten powtórzyć. Zasłużyła nań ta dzielna korporacja, zasłużyli ci, co w ciągu pół wieku bronili z poświęceniem naszego mienia, a często, bardzo często, nawet i życia...

\* \* \*

Któż nie wie, ile to u nas zaczerpnięto już papieru, ile gorących rozpraw stoczono nad kwestją poprawy oplakanych warunków sanitarnych, w jakich lud nasz wiejski, mimo tak blizkiego zetknięcia z przyrodą (owym celem westchnień mieszczańskich), grzeźnie dotychczas i niszczy dzięki w znacznej części swemu niedbalstwu, a także dzięki brakowi nad nim jakiejkolwiek bądź opieki lekarskiej? A przecie dotąd ważna ta kwestya nie posunęła się choćby o krok jeden i wieśniak, jak przed laty, mieszka ciągle w chacie przeważnie odrapaniej, brudnej i źle przed wpływami atmosferycznym zabezpieczonej; sypia w izbie mającej okno na wsze czasy zabite gwoździemi, aby przypadkiem nie dostał się do jej wnętrza strumień świeżego powietrza, a kiedy wreszcie zachoruje, ucieka się podawnemu do ciemnych guślarzy, znachorów i znachorek, którzy, trując go próżnymi medykamentami domowej roboty, nie rzadko pogarszają chorobę lub wprost przewożą go za Styx bez łodzi...

Ten znany dobrze, a z wielu względów nawet bardzo chwalębnym konserwatyzm naszego włościanina, streszczający się w wiadomym określeniu: „Tak żyli ojcowie, tak będę żył i ja“—oddaje mu w tym razie fatalną przysługę. Na jego to tle rozwija się swobodnie wśród tych ciemnych dotąd mas tysiące nieuleczalnych, chronicznych lub zaraźliwych chorób i przenosi z miejsca na miejsce przy zbiegowiskach jarmarcznych. I dzieje się to właśnie wówczas, gdy wieśniak ten osiągnął już znakomite polepszenie swego bytu, a niejednym doszedł oszczędnością do ładnej chudoby i ma się dziś lepiej czasem, niż wioskowy szlachcic. Powód zaś leży w tem, że obok tego wszystkiego wieśniak nasz pozostał jak dawniej nieufnym i podejrzliwym względem każdej nowości, zwłaszcza gdy dla niej do kieszeni sięgnąć trzeba czasem.

A jednak istnieje sposób, dość zresztą prosty, zwyciężenia tej jego podejrzliwości i nie brak też dowodów, że, nie czekając reform odnośnych z góry, dałoby się wiele dla zdrowia wieśniaka

zrobić po prostu, po „gospodarsku“, w drodze prywatnej inicjatywy.

Pocieszający w tej mierze fakt zapisał właśnie w tych dniach „Kuryer Warszawski“. Jest nim umowa dobrowolna, świeżo zawarta pomiędzy paru dworami w gubernii wołyńskiej a kilku okolicznymi wsiami. Oto dwory i wsie składają rocznie po równej summie (po 25 rs.) na honorarium dla lekarza, który zobowiązuje się za to regularnie co tydzień wsie owe odwiedzać. Chorzy schodzą się, oile jeszcze mogą, do jednej chaty lub dworu i otrzymują tam kolejno poradę, tych zaś, którym z łóżka już zwlec się nie podobna, lekarz w ich mieszkaniu odwiedza.

W ten sposób, na głowę wypada ze wspólnej opłaty zaledwie po złotówce rocznie; osiągnięta więc została bajeczna taniłość, jak wspomnieliśmy, względem oczach ludu bardzo ważny. Nadto apteka w pobliższym miasteczku zgodziła się od ceny lekarstw dla mieszkańców stowarzyszonych w ten sposób wsi ustępować 30%, a więc i to nie ma być może ułatwieniem i zachętą.

Oto i proste, łatwe rozwiązanie tej kłopotliwej sprawy! Najoporniejszy nawet wieśniak da się projektowi temu pociągnąć, bo najpierw niewiele to kosztuje, a powtóre (znowu względem bardzo ważny) leczyć go będzie *ten sam* doktor, co i dziedzićca!

Słusznie też opisujące fakt powyższy pismo powiada, że wobec wskazanej tu nietrudnej drogi dojścia do wspomnianego celu wszelkie wymówki inteligencji wiejskiej na temat specjalnych warunków, krepujących okoliczności, muszą racją bytu utracić.

W każdym zaś razie przykład ziemian wołyńskich wart zaznaczenia.

A czy też znajdzie naśladowców?...

## Przyczynek do kwestyi emancypacji kobiet.

(Dokończenie).

„Stanowisko kobiety w kwestyi religijnej“ wyszło z pod pióra męskiego. Nie zaczepiając wcale o wyznanie żadne, autor traktuje wyłącznie o uczucie, które jest podstawą wszelkiej religii—religijność. Czuję niebo ponad sobą i Boga w niebie, czuję potrzebę wznoszenia się ku Niemu sercem i myślą—to jest religijność. Każda istota ludzka dla normalnego rozwoju duchowego swego życia potrzebuje religijności, kobieta silniej od mężczyzny, bo z natury swojej więcej uczuciowa, mocniej odczuwa te tęsknoty natury idealnych, którym ziemia z materyalnym jedynie bytem nie starczy. Nie dość jest też dla kobiety wiedzieć o Bogu, to jest wierzyć w Boga przez uznanie Go umysłem, jako twórcę porządku światowego; szuka Go ona miłością swoją i doświadcza potrzeby modlitwy, która jest jakoby spotykaniem się Ducha Ludzkiego z Duchem Boskim przez ten prąd magnetyczny, który wytwarza uczucie człowieka. Kobieta ateistka jest zjawiskiem rzadkiem i dziwnie to zmienia jej istotę, dziwnie ją wyzuwa z kobiecości. Twardość i chłód serca, pozbawienie wszelkiej idealności musi koniecznie łączyć się z tym stanem umysłu, który uznaje tylko materję i zaprzeczając ducha w świecie, zaprzecza go i w sobie. Musi tak być—gruby realizm musi być podstawą ateizmu, jeżeli to nie jest poprostu zastąpienie po szczeblach niskiego życia do stanu zwierzęcia tak, że nie czując w sobie nic nad zwierzę, nie wierzy się już zgoła w żaden duchowy pierwiastek w ludzkości. Autor nazywa taką organizacją potwornością, zwłaszcza w kobiecie, która staje się wtedy wstrętną: „abstossende Erscheinung“ bo za wyznaniem wiary materyalistycznej musi nastąpić w rozumnej konsekwencji odrzucenie wszystkich tych cnót, które dotąd były w kobiecie najwyższej cennie, a wraz niemi musi zagać i najwyższy wdzięk kobiety, wdzięk subtelny i delikatny, który jest moralną owych cnót emanacją.

Zatraca w takim razie i mężczyzna najsłabiej, najwznieślijsze swoje uczucia. Widzimy, jak w politycznych stronnictwach tego odcienia patriotyzm ustępuje zupełnie miejsca chęciom korzyści materialnego rozwoju, a miłość bliźniego, uczucie braterstwa ludzkości, schodzi do takiego poczucia się w swoim rodzaju, któreby zabezpieczało najwygodniejszy byt wspólny. Kobieta przecież traci przytem najwięcej i w materialistycznym życiu układzie część jej jest mniejszą, niżeli mężczyzny.

Gdzie panuje siła i używanie, tam dział jej musi być z natury rzeczy nierówny i emancypacya, to jest wyzwolenie kobiety, zapisane na chorągwiach stronnictw z pojęciami materialistycznymi, jest rozwiązaniem Ludzkości z tych węzłów, które właśnie obowiązują na jej korzyść.

Kobieta materialistka, jest przy owem jakoby zrównaniu praw poniżoną przecież, bo naturalizm musi ją koniecznie, jako organizm fizycznie słabszy, na niższym szczeblu życia stawiać, i, przez pewne naturalne konsekwencye rzeczy, silniej w życiu tem obarczać. Jako adeptka filozofii materialistycznej kobieta bierze sobie część życia gorszą.

Autor twierdzi, że materialistycznej wiary wyznawanie szkodliwszem jest dla kobiety, niż dla mężczyzny w kierunku etycznym i silniej moralność jej postępów rozkłada, niż się to dzieje z mężczyzną, który nawet po wyzuciu się zasad i nakazów moralności idealnej posiada większą moc rządzenia sobą. Przez mniejszą wrażliwość i i mniejszą siłę wzruszania się uczuciowego, przez większe rozwinięcie pierwiastku rezonującego, zdobywa się on na większą wobec życia wytrzymałość: „hat mehr Halt.“

Ale nawet filozofia i moralność oparta na wyższej idealnej zasadzie, na uznaniu w człowieku wyższej, duchowej życia sprężyny, nie starczy ludziom w życiu. Dlatego, że to życie nie jest teorią, w księgach spoczywającą, ale rozwija niem się żywym wśród istot żywych — dla tego, że człowiek obok rozumu posiada uczucie — dla potrzeb tego uczucia i zadowolenia go w kierunku wwyż, od ziemi ku nieskończoności, z którą człowiek czuje się związany nicią tajemniczą, ale niemniej dla tego silną — dla tego wszystkiego razem Ludzkość potrzebuje czegoś więcej jeszcze!

Mądrość, którą nasz Słowacki nazwał „chorób duchowych lekarką“ — powinna być niewątpliwie gruntem dla czynów naszych i życie ludzkie jest bez zaprzeczenia tem zdrowszem, tem doskonalszem, im więcej tego gruntu człowiek pod nogami ma; ale to nie wszystko jeszcze — podstawę posiadać! Gdy Kant powiada: „Czyn tak, aby twoja zasada (czynności) mogła być prawem dla wszystkich“ — głosi on rzecz bardzo mądrą, bardzo szlachetną, ale słowa te służyć mogą dobrze tylko dla pewnej ograniczonej grupy ludzi. Każdy egoista gotów odpowiedzieć, że jego to nic nie obchodzi, jak w stosunku do ogółu mieć się będą jego postęпки, bo on rządzi się tylko względem na swój własny interes, na dobro swoje, tak pojęte, jak on to uznaje... Trzeba nakazu mającego moc silniejszą, aby skutkował i społeczeństwa ludzkie obwarowują się też przeciwko takim osobowościom złej woli, stawiając na poprzek ich drogi przepisy kodeksów karnych; czy przecież nie szlachetniej, nie wszechstronniej w kierunku dobra i piękna wyrabia się Ludzkość, jeżeli rządzi nią nie taka tylko siła odporna, która powstrzymuje jedynie gorsze natury naszej instynku? Religia, która się mieści przedewszystkiem w uczuciu: „im Gefühl wurzelt sie“ — uczuciowość człowieka rozwija i pod skłonieniem praw religijnych przechodząc od miłości Boga, do miłości bliźniego, na pierwiastku uczucia stosunki wzajemne między ludźmi opiera, uszlachetniając, oczyszczając, co jest w człowieku egoizmem i drapieżnością.

Większa jest nierówność w umysłowości, niż w uczuciowości ludzi, i religia, jako zwracająca się w tym kierunku, ma szerszą podstawę działania, niż wszelka filozofia, szczególnie w stosunku do kobiety. Autor niemiecki na tej podstawie tak ogólnie ludzkiej, jak wyłącznie kobiecej

natury, wykazuje najwyższą dla kobiety potrzebę religii — potrzebę religijności.

O samej nauce filozofów, o surowej, bezwzględnej doktrynie moralności, trudno by się było ostać nawet szczęśliwej, a cóż dopiero w tych chwilach smutku, żalu, rozczarowania, które życie daje? Gdy religijnych swych uczuć siłą kobieta wydstaje sobie nieśmiertelną treść życia z jego spraw ziemskich, przejściowych, gdy przez ideę wypełnianych obowiązków uświęca sobie trudy i prace powszedniego istnienia, cnota jej skromna podnosi jej się przed oczyma i stoi też przy niej wiernie, jako przy prawdzie i pięknie duchowym, a słodkie zadowolenie serca czyni ją spokojną i szczęśliwą, broni od gorączki pragnień i pożądań niezdrowych, które rujną życie innych. Wtedy dobrze jest kobiecie za ochronnym puklerzem religii, która wprowadziła w jej życie rozświecający je promień ideału, ale gromy losu biją nie tylko w wierzchy wyniosłe: są i biedne kwiaty takie, w cieniu wzrostu, którym nie dostała się nigdy promień słońca, i gdy kobieta jest nieszczęśliwa, brzemieniem niedoli przygnieciona, gdy stoi samotna i z pustymi rękami, tylko z żalem za utraceniem, tylko z tęsknotą za nieotrzymanym szczęściem marzeniem, wtedy inaczej jeszcze podnosi wrota ku górze, Boga ponad gwiazdami szukając. Gdzie On jest? — Nie wie... Ale wie, że jest, widzące ją tu na jej padole patrzące na nią nieśmiertelne oko Opiekuna. Wie ona i to, że tam kędyś u Niego ma wyznaczone miejsce swoje, że pójdzie tam na obrachunek, ucieszenie i odpoczynek. „Dla smutnych — powiada nasz poeta (Asnyk) trzeba promieni nad idealną świecących krainą“ i autor niemiecki formuluje to zupełnie taksamo, i niemal tak jednakowo, że można jego dłuższe wywody prozą zamknąć w pięknej parafrazie wiersza:

„Im zimne słowa mędrców nie wystarczą,  
I praw koniecznych bezwzględna powaga  
Nie będzie dla nich osłoną, ni tarczą,  
Gdy serce gwałtem szczęścia się domaga.

Trzeba im pociech, które nie da życie,  
Trzeba anielskich uśmiechów w błękitcie,  
Trzeba litosnej nad światem opieki,  
Trzeba miłości wiecznej, choć dalekiej...“

Trzeba tego — wiary w Boga, który jest na Wysokościach, nie tylko dla smutnych, nie tylko dla nieszczęśliwych — trzeba tego dla wszystkich, aby smutek nie był gorzkim, a szczęście miało promienistość jasną i pozostało dobrem, czystem, z niedolą współczującym, i nieprzyrastającym do ziemi, nie karmiącym na niej życia zwierząt i płazów pełzających. Bóg na niebie, to człowiek uświęcony na ziemi — to wszystko, co Ludzkość zdobywszy sobie w pracy wiekowej, złożyła w swoich prawach, naukach mędrców, typach piękna sztuki mistrzów: to wszystko, bo to drabina pomiędzy niebem a ziemią, wiekuisty świat ideału, postępujący przed słońcem prawdy.

Ale oprócz tego, co kobieta na własne swoje dobro z religii wybiera, jest ona jeszcze jako matka i obywatelka obowiązana dać dzieciom swoim wychowanie religijne w wierze społeczeństwa swojego. Gdy dzieci te dojdą pełnoletności rozumu i uczucia, mogą sobie wybierać własne drogi pojęć i wierzeń, tak jak wybierać będą drogi pracy i losu swego, ale nim to nastąpi, powinnością matki jest wedle praw swego kraju, wedle religijnej myśli swego narodu dziecko swoje wychować, nie nie uprzedzając i nie przesądając za niego, nie wydziedziczając go dowolnie z idei rządzącej wśród jego współobywateli — na własny, osobisty rachunek przyszłością jego, stanem jego ducha nie rozporządzać. Choć prawodawca w Religii Chrystusowej napisał: „Kobieta niechaj milczy w kościele (Mulier taceat in ecclesia) jednak przez wychowanie dziecka jest i ona głosem, odzywającym się w kościele. Przewodząc przykłady wielkich ludzi, którzy zachowali do śmierci wdzięczną pamięć na matki, które ugruntowały im w sercu religią i religijność,

autor niemiecki surowo zbija pedagogiczną radę Rousseau, aby dziecku mówić o Bogu wtedy dopiero, gdy już może uczynić sobie jakies o Nim pojęcie. A o czemże-to wychowanie mogłoby dziecku mówić, czekając aż do chwili, gdy umysł jego rozumowe pojęcie przedmiotu wytworzyć sobie zdoła? Dość jest obudzić w dziecku uczucie przytomności Boga w świecie, dość jest serce dziecinne przejąć miłosną cziąć dla Stwórcy i ukazać mu w naturze Jego potęgę, Jego mądrość, tkwiącą w harmonii, która rządzi światem, wschód i zachód słońca reguluje, ciałom niebieskim drogi ich wyznacza i nakazuje kroczyć im po nich. Odwieczny to jest środek pedagogii religijnej, ale po wszystkie czasy równie dobry, bo jedyny, aby w umysł dziecka pojęcie Boga wprowadzić, a w serce jego wsiąć ziarno religijności. Dodając na użytek matek pewne wskazówki, co do pierwszych modlitw dziecka i objaśnień Pisma Świętego, autor niemiecki schodzi już z konieczności do szczegółów, obchodząc mogących tylko matki tych wyznań reformowanych, gdzie czytanie Biblii w rodzinach jest zaleconem, co dla szerszego koła czytelników naszych jest pozbawionem żywszego interesu. Ale odzywa się na zakończenie do wszystkich już matek, którym przy sercu rośnie pokolenie przyszłości, którym do najświętszych obywatelskich obowiązków macierzyństwa liczy się pierwsze rozbudzenie ducha w piersiach tych istot młodych — do wszystkich już matek woła słowami, które kiedyś Schiller zwrócił do sztukmistrzów: „Godność Ludzkości jest złożona w rękach waszych i strzeżcie jej! Z wami ona upada, i z wami się podnosi.“

Kierunek pisma już się dostatecznie zaznacza przez takie postawienie na pierwszym swym porządku dziennym zasadniczych kwestyi moralnych. Kierunek ten jest z Bogiem, z obowiązkiem, z delikatną wstydlivością i godnością niewiasty, jest więc ze szlachetnego idealizmu zasadą, i jeżeli potrafi wedle założenia zesrodkować wkoło idei swojej ruch emancypacyjny kobiety niemieckiej, pójdzie on drogą dobrą i nie nie skrzywi, lecz przeciwnie naprawić może — ze pchnąć w dół ten materializm surowy, który siłę przed prawem stawia.

M. Ilnicka.

## BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— Cóżś słyśzał? ma on jakie nadzieje? groźny jest? — zapytał.

— Najjaśniejszy panie — począł starosta — czasu elekcyi, każdy kompetytor straszny. Nie ma za sobą ludzi, a mogą się zrodzić, jak grzyby, na polu samem. Powieje wiatr. To pewna, że przeszkodą nam będzie.

— I właśnie dlatego nie ustąpię — burknął Kazimierz — ale go to drogo kosztować może. Nikogo nie posłucha.

— Szlachtę mazowiecką, którą zdawna karmi i poi, i różnych wysłańców, co pośpieszyli tu przed elekcyą — mówił Butler — jego dworzanie, Wysocki, Czyrski i inni, zjednali jadłem i napojem. Porosyła ich po powiatach. Któż wie, gdy przyjdzie do głosowania? Wyrwie się jeden, zahuczy wrzaskliwie, i pociągnie za sobą.

— Cóż tu począć? — zamruczał Kazimierz. Butler przeszedł się nieco zamysłony po pokoju.

— N. Panie, gdy się senatorowie zjadą, przez nich chyba można coś będzie przedsięwziąć, aby się upamiętał.

— A to, co wyłożył?... — szepnęła frasobliwie





Od tej pory stosunki łączące nas z piśmiennictwem francuzkiem znacznym zmianom uległy, lecz zerwane nie zostały. Zupełnie prawie dawniej zamedbana i nieznaną literatura niemiecka, która i we Francji zyskała pewne prawo obywatelstwa, u nas także poważniejszym studiom przewodniczyć zaczęła. Posłuchano w tem Mickiewicza, który o „Iliadzie“ Dmochowskiego mówiąc śmiał się z tych, co u pani Dacier całą swą homeryczną uczoność czerpali.

Postęp naszego piśmiennictwa wogóle, rozwijanie się jego od roku 1830 do 1880 i do dziś dnia, badźcobadź, olbrzymiami są. Dziś już mniej więcej o siłach własnych przynajmniej na książkach w języku własnym, oryginalnych czy przekładanych, uczyć się można i kształcić. Wszystkie dzielnicę nasze, w pracy tej półwiekowej, powolnej, stopniowej z kolei udział brały, i coś do ogólnego skarbu przyniosły.

Dobiliśmy się tak do 1880—1886 roku, ciągle małe czyniąc postępy, których termometrem była literatura peryodyczna. Wtem przychodzi tak zwane przesilenie ekonomiczne, panika—i nagle powstrzymuje się wszelkie wydawnictwo, jakgdyby zwątpiono o przyszłości. Dziennikarstwo się chwycie, ruch powoli ustawać zaczyna. Zbyt to znaczący symptom, aby nie zmuszał do badania jego natury.

Obok faktu tego, że w roku bieżącym wydawcy nie mają ani odwagi, ani ochoty do puszczania w świat nawet tego, co mieli przygotowanym, stoi drugi, zagadkowy. Donoszą nam z Paryża, z bardzo poważnego źródła, iż odbył się znaczny podniósł się znacznie.

Polskie więc książki przestano kupować, aby je zamienić na... francuzkie?

Objaw ten nie jest domysłem, przypuszczeniem: stwierdzają go rachunki paryżkich księgarzy. Znaczniejsze firmy francuzkie chlubią się tem, że odbył ich wydań do prowincji naszych rósł ciągle i w ostatnich miesiącach powiększył się jeszcze.

Z jednej strony byłby to symptomat pocieszający, bo dowodziłyby zwiększonej potrzeby czytania, uczenia się, a choćby zabawiania książkami; ale z drugiej, kosztem własnej literatury—płacić za to?...

Zapisujemy ten fakt, zostawiając sprawdzenie jego i badanie tym, którzy mają materiały i sposobność; my wyznamy, iż dla nas jest on niezrozumiałym. Jedno-by tylko przypuścić można: iż się kupuje pofrancuzku to, co popolsku tłómaczonem być nie może, zatem chyba Zoli „Nanę“ i „Assamoir“?...

Lecz zamknijmy ustęp ten, a przejdźmy do nowości. Bardzo niedawno zdawaliśmy sprawę z wielce zajmującego dziennika offiera, który się znajdował w Paryżu czasu obłężenia i układow pokojowych. Autor jego, hrabia l'Hérison, z wielkim talentem i prawdopodobnością opowiadający tylko to, na co patrzył i w czem brał udział, umiał tak zająć czytelników, iż notaty te jego w krótkim przeciągu czasu doczekały się czterdziestu kilku wydań. To go zapewne musiało zachęcić do wydania „dziennika tłómacza w Chinach, (Journal d'un interprète en Chine.) z r. 1860, który tążsamą odznacza się otwartością, i odsłania mało znany stosunek wojsk angielskich do francuzkich, wzajem siebie posiłkujących. Są tu i bardzo żywo a barwnie malowane chińszczyzny, mnóstwo szczegółów mało znanych i udatne krajobrazy, ale, co najważniejsza, d'Hérison dowodzi i wykazuje, że Francuzi byli wyzyskani przez Anglików, którzy przy zawarciu traktatu umieli sobie oddzielne, tajemne wyrobić korzyści. Obwiniono zarazem Napoleona iż chcąc sobie pozyskać Anglię, poświęcił jej Francją i jej interessa.

Nie jest to domysł i przypuszczenie, gdyż traktat, w którym Anglicy Chińczykom Francuzów przedstawiają jako swych podwładnych i hołdowników, schwycony był przy zdobyciu pałacu Letniego w Pekinie i miał dojść ręk Napoleona; ale go milczeniem pokryto. Cała ta wyprawa, według d'Hérisona, tak była prowadzoną, ażeby w przyszłości Anglików podniosła w oczach Chińczyków, a Francją poniżyła.

Okrucieństwo i zła wiara, z jaką się broniły Chiny od najazdu, nigdzie może w tak straszliwych się barwach nie malują, jak tutaj. D'Hérison był naocznym świadkiem, posądzić go o przesadę nie można, gdyż imionami, liczbami i dokumentami się świadczy.

Wiele wprawdzie narodowi broniącemu ognisk swych od najeźdźców przebaczyć można, ale tu... nieludzka jest dzikość i znęcanie się nad nieprzyjacielem. Męczarni podobnych tym, jakie wymyślili Chińczycy, żaden najdzikszy naród nie znał.

Powolność Napoleona dla Anglii, której względy sobie zaskarbić pragnął—potwierdza się w drukiem świeżo wydanem dziele, w pamiętnikach Lorda Malmesbury (Mémoires d'un ancien ministre 1807-1869 par Lord Malmesbury, traduits de l'anglais avec l'autorisation de l'auteur par M. A. B. Paris; Ollendorf. 1885).

Dla tych, którzy radzi poznać bliżej Anglię, życie jej arystokracji, politykę, stosunki stronnictw i t. p. pamiętniki Lorda Malmesbury, —jakkolwiek przez niego samego z dzienników starannie utrzymywanych bardzo skrócone i niekiedy aż nadto obcięte—stanowią mogą wielce zajmujący materiał. Do najstarszych obrobionych epizodów należą wszystkie te, w których występuje Napoleon III; przyjaźnią jego lord się zaszczycił. Przyjaźni ta przeżyła wszystkie zwroty polityki, zmiany gabinetów, i ten który poznał przyszedł Cesarza na bruku londyńskim jako skromnego marzyciela, powitał go potem wracającego do Anglii z prośbą o gościnność i przytułek. Malmesbury ani uniewinnia Napoleona, ani go tłómaczy, ani zbyt się nad losem jego roztkliwia, ale z zajęciem bada go jako dziwne, fenomenalne zjawisko.

Równie jak wszyscy ci, co ostatniemi czasy pisali o wojnie francuzko-niemieckiej i katastrofie, Malmesbury powiada, że wypowiedzenie wojny było sprawą cesarzowej Eugenii. Ona jej chciała i zmusiła niejako do stanowczego kroku.

„Cesarz—pisze—był zdecydowanym przyjąć zrzeczenie się tronu hiszpańskiego przez Hohenzollern'a i tem zakończyć zatarg dyplomatyczny, z którego wychodził zwycięzko...Przed stanowczą odpowiedzią, cesarz, cesarzowa i ministrowie pojechali do Saint-Cloud. Tu, opowiedział mi Grammont, po kilku chwilach rozpraw, cesarzowa, niezmiernie rozdrażniona, zabrała głos i oświadczyła z gwałtownością wielką że: „wojna była nieuchronną, dla tych, którym część Francji była drogą.“ Poparł ją natychmiast marszałek Leboeuf, który rzucił nagle portfel swój na ziemię, przysięgając, że, jeżeli wojny nie będzie, on go nie weźmie już więcej, a nawet laski swej marszałkowskiej się wyrzeczy. Cesarz—uległ, a Grammont pobiegł zaraz do izby prawodawczej z oświadczeniem.“

W r. 1871 w Marcu, zaledwie Napoleon wylądował w Duwrze, Lord Malmesbury pośpieszył go powitać w Chislehurst.

„Wszedł sam do salonu, w którym się znajdowałem, i bardzo serdecznie ścisnął mi rękę z tym uśmiechem, który tak dziwnie rozjaśniał czasami jego twarz zwykle pochmurną. Przyznaję się, że byłem nadzwyczaj wzruszonym. Godność jego spokojna, brak wszelkiego rozdrażnienia i namietności zdawały się dowodzić w nim stoicyzmu nadzwyczajnego. Cała przeszłość przysłała mi na myśl, począwszy od tego czasu, gdy jako poddany angielski w r. 1848 spełniał w czasie rozruchów obowiązki constable'a—aż do tej chwili, gdy jednego cała ziemi nie mając na świecie, zchronił się do najętego domu w angielskiej wioszcynie.—Twarz moja musiała malować uczucia, jakimi byłem przejęty, bo powtórnie uściśnął mi rękę i rzekł: „Wdzięcznym jestem, żeście przybyli widzieć się ze mną.“

„Potem, tonem naturalnym i spokojnym, począł chwalić przyjęcie jakiego doznał od Niemców w Wilhelmsöhe. W ciągu całej rozmowy ani słówkiem się nie poskarżył na los swój. Powiedział mi tylko, że się pomylił, rachując na siły i stan swego wojska, ale nie żalił się na nikogo aż do chwili, gdy wspomniał generała Trochu, który cesarzową opuścił, poprzysiągłszy ją bronić, a Paryż oddał w ręce motłochu. Naówczas

wykrzyknął:—A! to lotr. Przez pół godziny mówił ze mną tak spokojnie, z taką rezygnacją, jaką dać tylko może fatalizm, bo nią żadna wiara nie natchnie (?) — Nie poraz pierwszy to usposobienie w nim dostrzegłem.“

Całe życie Lorda Malmesbury było niezmiernie czynne, a pod koniec jego, gdy się coraz bardziej usuwać zaczął od polityki, zajmują go podróże,—poznawanie coraz-to nowych krajów, literatura.

Pod tytułem: „Fables et poésies polonaises“ (traduites et publiées par la Comtesse A. L. précédées d'une lettre de Henri Martin) wyszło drugie już wydanie przekładów — zupełnie szerszemu kółku czytelników nieznanych. Przeważnie są tu bajki Krasickiego i Morawskiego w znacznej liczbie, ale oprócz nich najrozmaitsze poezye, począwszy od Brodzińskiego, aż do Asnyka i Deotymy—dopełniają ten rodzaj antologii, który dla nas przynajmniej jest bardzo przyjemną niespodzianką; przekłady w znaczniejszej części są bardzo wdzięczne i przewyższają inne tego rodzaju próby, które się ukazywały w tych czasach. Im cięższym zadaniem jest wszelkie tłómaczenie, tem p. A. L. należy się większa wdzięczność, że chciała podjąć je, dla zapoznania... Francuzów z częścią prozy naszej.

Henri Martin, odpowiadając panu de Rochetin na list przy przesłaniu pierwszego wydania—mówi: „Wtajemniczyć nas w poezję ludową (populaire) polską od XVIII w. do naszych czasów, wyborem małych utworów — jest myślą szczęśliwą, godną poparcia. „Śpiew jest zdrowym dla duszy“—mówili starzy Celtowie nasi. Ludy słowiańskie mają niezaprzeczenie geniusz poetyczny i melancholiczny, myśmy się stali teraz skłonniejsi do odczucia i sympatyzowania z tą nutą melancholiczną, która jest więcej ich cechą, niż naszą.“

## BIAŁA RÓŻA

CZEŚĆ II-ga

przez

Narcyzę Żmichowską.

(Dalszy ciąg).

Z oczami teżsame działy się cuda. Spotykasz poraz pierwszy: piwne oczy; przy świetle prawie czarne i nic więcej. Przypatrz się im: oszalesz, a właściwego wyrazu na oznaczenie ich koloru nie znajdziesz; bo to niby trochę zielone, jak morska woda, niby brunatne, jak bistr najciemniejszy—ot, gdyby można złoto w piorunie trochę roztopić, trochę na węgiel spalić, toby się dla nich porównanie znalazło.

Nad takimi oczami brwi wązkie, ale gęste, jak dwie proste linijki, ku osadzie nosowej lekko tylko na dół przegięte, granicę otwartego czoła znaczyły. Od ich spadku rysunek profilowy z większą swobodą niż na hellenickich marmurach wzdłuż wydatniejszego nosa się rozwijał: znać, że Lais Praxyteleasa, Tycjana szkołę przeszedłszy, inne sobie wyrobiła zdolności, że gotowa była czynnie i szlachetnie we wspomnieniach dziejowych się zapisać, że chociaż jeszcze nie Madonną, to przynajmniej już Dogaresą obok Doży, jakąś Laurą obok Petrarki, stanęła.

Przejrzyjcie państwo Lawatera, jeśli się na prawdę chcecie dowiedzieć, jak ważnym organem i hieroglifem umysłowego wykształcenia jest ta część twarzy, która dla wielu mizantropów do ucierania jedynie przeznaczoną być się zdaje.

W nawiasie muszę też czytających te kartki dobrem życzeniem pobłogosławić, a to jest, żeby nigdy kosztem własnego serca nie odbywali kursu fizioognomiki na tych trochę szablastych, trochę orlich nosach, których typ zidealizowany przechowały nam obrazy pięknej lecz niebezpiecznej do pokochania Maryi Stuart, a których parodyą spotkać można i w arystokratycznym kole balowego koutredansa, i w środkowej alei Ogrodu

Saskiego i na modnej mszy u Kapucynów i na schodach sławniejszych mecenasów i przy toalecie złocistej, i przy kuchennym garnku z krupami—wszędzie, gdzie tylko dla próżności, światowego znaczenia, intrygi, zysku i skąpstwa—krótko mówiąc, dla wszystkich samolubstwa konarów, drażniące do wybujałości znajdują się podniety. Niech każdego Bóg dobry strzeże od podobnych nosów! Stokroć lepszy chłopski bez charakteru, nawet murzyński spłaszczony, najlepszy jednak taki, jak go panna Augusta miała. W samą porę szeroki i długi, ku środkowi wypuklejszy, ku nozdrzom trochę rozdęty, ale nie mięsisty i nie zażyły—pod słońce widać, że tam krew purpurowa dobiega — dość powiedzieć, cudowny nosek! a co za usta pod tym noskiem! jakim świeżym rubinem wezbrane, a jak powściągliwie przywartel! jakie czyste w swem odkrojeniu, a jakie wabne w swej pełności! Gdyby się uśmiechnęły — musiałbyś uciec, bo pocałować nie wolno—lecz w tej chwili nie uśmiechają się: i owszem, całe oblicze, znie ruchomione pod wpływem głębokiego zamyślenia, mogłoby nawet uspijonem się zdawać, gdyby kształtna ręka jednostajnym, lecz ciągłym ruchem nie zwiwała i nie rozwijała jedwabnego sznura, który w pasie zasupłany, przytrzymywał gęste fałdy wełnianego odzienia i dwoma nierównymi końcami aż za kolana spadał.

Naprzeciw tej monarchicznej piękności, w fotelu przy kominie siedziała druga kobieta. Szczupła, miernego wzrostu, przechylona trochę ku płonącemu ogniovi, drażniła się z nim długiemi stalowemi szczypcami i w milczeniu głębokiem przypatrywała się ruchliwości jego migotania, jak guślarka uważna, wróżbiarskie z te gry połysków wyprowadzająca wnioski. Była to właśnie tażsama Urszula, którą list Augustyny wzywał do Warszawy. Urszulę zapewniano jedynie pamiętają dzisiaj, co byli bezpośrednio do jej życia wplątani. Między obcymi przesunęła się cichuteczko, niepostrzeżenie. Musiałby ten mieć dobrą pamięć, a bystrą uwagę musiałby chyba zachowywać wspomnienie każdego dnia łagodnie pogodnego w ciągu roku, każdej szklanki wody świeżej i orzeźwiającej ze smakiem wypitej, każdego drzewa cieniowego, pod któremby z przyjemnością odpoczął, słowem: każdej drobności życia błogiej, a mimowiedzy przejętej, musiałby, mówię, zachowywać to wszystko żywym bardzo wspomnieniem, aby mu Urszuli odpowiednie wspomnienie miłe, bez rozgłosu, wdzięczne bez zwracania na siebie baczności, w zapomnieniu dalekiem nie przepało. Jej rysy to najzawilsza dla estetyki zagadka; trudno powiedzieć, że piękne, niepodobna zarzuć, by znów brzydkie były, pospolitemi także zwąć ich się nie godzi. Są to rysy prawdziwie słowiańskie; kragławosć nad pociągłością w nich przeważa, ale nigdzie spłaszczeniem nie razi; pewna wrodzona szlachetność urok wdzięku zastępuje, pewna powaga serdeczności dopełnia. Czolo szerokie i śmiałe, oczy duże, błękitne, w nienagannej oprawie niebem na świat patrzeć się zdają, policzki trochę kościste, nos, wprawdzie nie typowy, dość składny jednak, choć, jakby to rzecz można, swego własnego kształtu; usta o pół linii szerzej rozcięte może nad wymagania malarzskich przepisów, ale raczej zbyt skąpe, jak to się w rysopisach paszportowych i książeczkach legitymacyjnych wyrażają, niż zbyt namiętnie zgrubiałe, ogólny wyraz oblicza zmienny, jak dzieje duszy człowieczej, ma swoje dni powszednie, swoje niedziele swobodne i swoje wielkie uroczyste święta. Sto razy powiesz to, co Gustawowi jego znajomi o portrecie Marylli mówili:—„At sobie kobieta“—z dziesięć razy będziesz musiał wykrzyknąć:—„Ach! doprawdy śliczna kobieta.“—Raz może ujrzyj ją w chwale Taboru i sam przed sobą się zawstydzisz; kto wie nawet czy nie pożałujesz mimowolnie, że tak długo jej prawdziwej, zatajonej nie odgadłeś piękności. Na tę chwilę, o której właśnie jest mowa, tylko niedziela przypadła.

Już tak przez czas jakiś głuche milczenie między dwiema przyjaciółkami panowało, gdy je nakoniec panna Augusta przerwała swoim dzwicznym, a trochę kontraltowym głosem:

— Czemuż to nie północ już!

Jej towarzyszka spojrzała na zegarek nad kominkiem stojący i, uśmiechnawszy się, odrzekła powoli:

— Najpewniej dlatego, że jest dopiero dwadzieścia minut po ósmej.

— Oh! doctissima, doctissima! — powtórzyła z lekkim przyciskiem niecierpliwości milionowa dziedziczka — trzeba ci przyznać, że masz zadziwiającą przenikliwość w odgadrywaniu najjawniejszych przyczyn, najnieosobliwszych wypadków.

— Zdaje mi się, że dość stosownie odpowiedziałam na zapytanie Najjaśniejszej Augusty.

— Cóż to? znowu doctissima nie umie znaku zapytania z wykrzyknikiem rozróżnić?

— Alboż tam był wykrzyknik na końcu?

— I wykrzyknik i cały szereg kropek okrągłych.

— Czy była kreska po kropkach?

— Na cóż tobie kreska potrzebna?

— Bo same kropki znaczą proste zawieszenie głosu. W takim razie czekam, co dalej będzie? Kreska zaś na czytelników i słuchaczy wkłada obowiązek domyslenia się reszty niepowiedzianych wyrazów.

— Oh! to była ogromnie długa kreska — dwie kreski — trzy kreski nawet.

— Ja się i pierwszej z rzędu nie podejmuję domyśleć.

— Cóż to za niedołęztwo znowu!

— Powiedz mi, Augusto, czy podjęłabyś się zgadnąć o czem дума za piecem w waszej kuchni stara Wojtkowa jednooka? Wszak nie zawsze byś w karykaturę lub w sielankę wpadła, tak samo ja nie mogę zgadnąć, ja, nie piękna i nie bogata, co i kiedy przez głowę pięknej, bogatej kobiety przeleci; zawsze najniewłaściwiej w nutę hymnu lub satyry głos rzucę [tak].

— Urszulko, nie godzi się tak ze mną postępować. Ja listy po listach z modlitwami wzywającymi wyprawiam do ciebie, i kiedy przyjechałaś nakoniec, kiedyś już zamknęła się ze mną na stanowczą i długą rozmowę, kiedyś widziałam, jak się do niej namyślem i rachunkiem sumienia przygotowywam, ty nawet półsłówka odgadnąć nie umiesz, nawet mojego wykrzykniku pojąć nie chcesz.

— Usprawiedliwiłam się; dlaczego. Wykrzyknik pięknej, rozpieszczonej powabami życia kobiety migotliwiej się mieni od iskierki i śniegu pod promieniami słońca. — „Czemu to nie północ już“ — Zkądże ja nawet, znając cię, Augusto, dojdę prawdziwej tych wyrazów wartości, czy one niecierpliwość, czy nudę, czy tęsknotę znaczą?

— Brawo! Urszulko brawo! widać, że dojdiesz niezawodnie, dojdiesz i zrozumiesz lepiej ode mnie samej, bo już w pierwszym przypuszczeniu na trzy rzeczywiste symptomata natrafiłaś. Istotnie, mój wykrzyknik znaczył niecierpliwość, bo mam często bardzo to uprzedzenie, że jakas późniejsza godzina więcej od terażniejszej wartą będzie; znaczył też nudę, bo rozmyślałam trochę nad sobą, trochę nad panem Filipem; a wreszcie znaczył i tęsknotę wielką, bo sobie marzyłam, że mi się albo duch jaki pokaże o tej czarno, księżkowej godzinie, albo przysni kochanek nieznanany.

— Nieznany? Był w twoim liście wiersz jeden, który zwiastował już poznanego właśnie.

— Poznany nieznanany, czyż to nie wszystko jedno w tym świecie, na którym ja żyję? Kochanek zresztą, moja Urszulko, w każdym świecie, choćby na Słońcu i na Syryuszu zawsze musi być nasz nieodgadnięty, niepojęty, nasz nieznanany.

— A ja widzę, że przez cały czas rozstania, przez długie trzy lata, licząc w nie nawet jeden rok przestępny, moja najjaśniejsza Augusta nie a nic się nie zmieniła.

— Zmieniłam się jednak choć troszeczkę. Wpatrz się tylko dobrze we mnie: jestem daleko smutniejsza, zaczynam coraz częściej wychodzić z moich dyamentowych pałaców, a coraz dłużej przesiadywać ze śmiertelnymi gośćmi w bawialnych pokojach. Rodzinne moje położenie bardzo się także utrudniło. Matka już stanowczo chce mnie za mąż wydać; jeśli niegdys samodzielność moja potrójnym szpagatem przywoitości, ładnego ułożenia i sądu hrabiny X. skrupowaną

była, to dzisiaj ze szpagatu prawdziwe powrozy, liny okrętowe ukrecono. Co się ruszę, to strach, żebym sobie w opinii światowej nie zaszkodziła. Co się odezwę, to zaraz proces: czy nie skompromitowałam się względem jakiegoś tam niegodnego zostac moim mężem młodzika. Co zamilknę, to wymówki, że tylko wszystkich od siebie odstręczam. Za progiem tego pokoiku, tej mojej najmilszej samotni, życie wśród ludzi wlece mi się pod ciągłem wrażeniem śmieszności, próżni i niesmaku.

— A przecież, gdybyś szczerze chciała, tobys je mogła zmienić.

— Mogłabym, jestem pełnoletnia, prawda, że mogłabym zmienić. To twoja nieustanna zwrotka, Urszulko, ale moja znów wiecznie tażsama piosneczka, że do zmiany trzeba siły moralnej, do siły moralnej potrzeba jakiejś podniety, trzeba wiedzy przynajmniej, co na co zmienić się pragnie. Ja właśnie takiego wsparcia jestem pozbawiona. Gdybym w tej chwili odebrała przypadający na mnie majątek, wyswobodziła się spod samowolnego matki mojej zarządu, objęła ster własnego życia po najhałaśliwszych przejściach, zgorzzeniach, zatargach, jutro nie wiedziałabym już do czego moją wolność przyczepić, jaki z mego majątku zrobić użytek, w której stronie osobny mój namiot rozwinąć? Nie warto, nie warto jeszcze tak wielkich usiłowań przeciw tak małej stawiać korzyści.

— Masz słusność, Augusto. Kiedy serca w pierśsiach brakuje, nie warto i żyć nawet, choć się jest piękną, bogatą milionowym posagiem, dowiepną wszystkich Francuzów i humorystów angielskich dowcipem.

— Żle się wyraziłaś w gniewnem uniesieniu, moja zwykle łagodna Urszulko. Mnie serca nie brakuje, tylko mi w sercu brakuje miłości. Gdyby ta mała jaszczurka dniem i nocą o pokarm nie dopominała się w mej piersi, daleko zręczniejszy i weselej przesłiznęłabym się po gościńcu mego życia. A cóż może dokuczyć kobiecie bez serca, gdy jest — jak mówisz — piękną, dowcipną i milionowo majątną? Co ją zasmuci kiedy? za czemże ona tęsknić, za czem wzdychać będzie? Świat cały na jej posługi — od brylantów do pieśni poety — jak tylko zechce, czy za pieniądze, czy za uśmiech przychlebny, wszystkiego natychmiast dostanie. Lecz mieć serce i nie mózdz ukochać nikogo, mieć serce i nie zapełnić go uwielbieniem, radością, zachwytem; mieć serce i ciągnąć próżnią, ciągnąć ujemnością tylko czuć jego obecność — oh, to dopiero boleść prawdziwa, to nędza, która mię do wierutnego żebractwa przywiodła! Ty nawet pojąć nie możesz, ilu zamożniejszych od siebie o jałmużnę miłości prosiłam. Lecz sama zamiarkuj — do ciebie, Urszulko, jakże ja często a jak natrętnie kołacę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Kronika działalności kobiecej.

— *Dziennik Łódzki*, który jest pismem bardzo dobrze i starannie redagowanym, a niezbędnym potrzebny w mieście z tak znaczną już ludnością, która dotąd miała miejscowy organ tylko niemiecki — pisze, że dobroczynność tamtejsza przeszła niemal zupełnie w ręce kobiet, na co się bynajmniej nie uskarża. Ale kronikarz *Dziennika* dodaje: „Waszem też sercem dobroczynne panie, polecam troskę, aby przy „gwiazdce“, lub „święconem“ dla biednych znalazł się w przyszłości ktoś, który powie do nich choć dwa słowa po polsku“. Napisanem to zostało z powodu, że w ubiegłą Willię Bożego Narodzenia, przy rozdawaniu podarków gwiazdkowych dla ubogich brzmiał tylko język niemiecki. Ksiądz katolicki, do którego zwrócono się z prośbą o przemówienie — odmówił, gdyż prawnie nie jest mu wolno odzywać się poza obrębem kościoła, a nikt ze strony *Towarzystwa Dobroczynności* nie pomyślał,

aby go zastąpić. Mógł to uczynić mówca, który przemawiał po niemiecku, a który równie dobrze władą językiem polskim, ale nie zrobił tego! Więc też kronikarz *Dziennika* pisze: „Dobroczynne panie! weźcie na przyszłość sprawę tę w ręce wasze.“

Gdzie jest dobroczynność, a obok tego dziecko, potrzebujące wpływów wychowawczych, tam działalność kobieca, miejsce mieć powinna, bo jest to jej pole obowiązku.

Kronikarz *Dziennika Łódzkiego* poleca jeszcze uczuciu podobnego obowiązku, który przejmować powinien serce niewieście, byt teatru polskiego w Łodzi. Przy silnie niemieckim zaludnieniu miasta, jest to rzecz niemałego znaczenia i kronikarz ów dodaje: „Teatr jest po kościele jedyną instytucją dającą sposobność usłyszenia mowy ojczyznej.“ Więc sprawa to także należąca do sfery obowiązków kobiety.

— Warszawskie Towarzystwo opieki nad matkami i ich dziećmi rozszerza się pomyślnie, jak o tem donosi ostatnie z czynności jego sprawozdanie. Na ostatnim posiedzeniu Towarzystwa uchwalono powiększenie pomieszczenia zakładu, z powodu wielkiego napływu ubogich matek które się pod opiekę Towarzystwa uciekają. Z dniem 1-m Kwietnia przynajęte zostaną pokoje, sąsiadujące pomieszczeniem zakładu, który wtedy powiększy liczbę łózek swoich o 4, czyli będzie ich miał 12. Musi to pociągnąć za sobą i wzmocnienie obsługi lekarskiej, zatem Dr. Władysław Tyrchowski został stałym lekarzem zakładu. Rzeczą ważną dla rozwoju działań Towarzystwa jest ustanowienie przy niem tak zwanych pań protektorek, których obowiązki są rozliczne.

Protektorki powinny zapoznawać jak najliczniej znajome sobie osoby z celami i działaniem Towarzystwa, przedstawiać im sprawozdania z jego czynności i zjednywać tym sposobem członków wszelkiej kategorii.

Protektorki mieszkające na wsi mają obowiązek wyszukiwania kobiet, którym możnaby oddawać do wykarmienia dzieci, będące na opiece zakładu; dalej opiekowania się owemi dziećmi, bacząc, aby nie działa im się żadna krzywda, i przychodzenia im z pomocą w razie choroby, zawiadamiając gospodarczy komitet Towarzystwa o wszelkich wypadkach, którymby uległy, oraz pośrednicząc między Towarzystwem a wychowawczyniami w wypłacaniu im należności za przyjętą nad dziećmi opiekę. Protektorki same nie są obciążone żadnymi na rzecz Towarzystwa wydatkami, obowiązki ich nie są też zbyt utrudniające; że przecież jest to przyłożeniem ręki do bardzo dobroczynnego dzieła, można mieć nadzieję, że kobiety nasze chętnie współudział w nim przyjmą. Protektorek tej kategorii potrzeba jest Towarzystwu jaknajwięcej. Dla objaśnienia dodać tu należy, że za dzieci ubogie, oddane na wychowanie na wieś (wyjątkowo tylko i czasowo pozostawia je Towarzystwo w Warszawie), płaci Towarzystwo umówioną kwotę pieniędzy, aż do siódmego roku.

Są ubogie matki, które jednak pragną dzieci swe wykarmiać i wychowywać same; tym matkom Towarzystwo daje zapomogę aż do czasu, w którym położenie ich poprawi się szczęśliwie, nigdy jednak niedłużej, jak do siódmego roku. Nad dziećmi tak umieszczonymi czuwać będą protektorki w Warszawie zamieszkałe i tych obowiązki są o wiele więcej uciążliwe, bo do nich należy, prócz nadzoru nad wspomnianą kategorią dzieci, wziętych na opiekę Towarzystwa, także zwiedzanie mieszkań kobiet ubogich, które pomocy Towarzystwa wzywają; wywiadywanie się o ile pomoc ta jest rzeczywiście potrzebną i w jakim stopniu? Liczba tych

protektorek jest ograniczona do sześciu i już szczęśliwie zajęta została.

Są jeszcze trzeciego rodzaju protektorki, zamieszkałe w Warszawie, których liczba ograniczoną nie została, a Towarzystwo pragnie, aby było ich jaknajwięcej. Przeznaczoną na działań protektorek czynnością jest dostarczanie dla zakładu pościeli, bielizny i innych przedmiotów potrzebnych zakładowi. Otrzymuje on już i teraz wiele darów, dobroczynnie mu nadsyłanych, ale bywa w tem nieraz zbytek jednych, a brak drugich, równie potrzebnych rzeczy, tak w bieliznie, jak w przedmiotach spożywczych. W tym celu ustanawia Towarzystwo protektorki tej kategorii, prosząc, aby każda z pań, pragnąca uczynić dar choćby najmniejszy, zechciała przyjąć na siebie obowiązki takiej protektorki, co obznajomi ją z potrzebami zakładu i da jej stanu jego pojęcie. Takie protektorki zbierać się będą co miesiąc w każdy pierwszy piątek po pierwszym dniu miesiąca, o godzinie 1-jej po południu w lokalu zakładu: Ulica Marszałkowska Nr. 56. Tam obradując wspólnie nad potrzebami zakładu, poznają je i łączą razem usiłowania w celu zaspokojenia ich bądź sposobem otrzymanych darów, bądź za zapłatą po cenach niższych. Na tych miesięcznych naradach przewodniczyć będzie wydelegowana do tej czynności przez komitet Towarzystwa p. Emilia Blochowa.

Panie pragnące zostać takimi protektorkami, potrzebują zgłosić się do Towarzystwa osobiście lub piśmiennie, udając się lub nadsyłając listy do mieszkania zakładu ul. Marszałkowska N. 56 od godziny 12 do 2 po południu. Na pierwszym posiedzeniu miesięcznym, które odbyło się w Piątek d. 15 Stycznia, spisany został odpowiedni protokół, i po przedwstępnych naradach rozdano protektorkom odpowiednie instrukcje. Grono protektorek składają obecnie: Andrychiewiczowa Marcella, Bogusławska Władysława, Bojacińska Zofia, Brzezińska Bogusława, Kowalewska Bronisława, Kosakowska Marya, hr. Krasieńska Helena, hr. Krasieńska Marta, Leo Edwardowa, Michałowska, Niemojewska Katarzyna, Piotrowska Anna, Rytel Marya, Wolf Andrzejowa, Wołowska Stanisławowa, Marya, Wróblewska Walerowa, Wrotnowska Antoniova, Zielińska Maurycowa, Zielińska A. Protektorki zamieszkałe na wsi, także zwrócić się powinny z dobrmi chęciami swemi do Towarzystwa pod wyżej wskazanym adresem.

— Konkurs na prace z zakres polskiego językoznawstwa, ustanowiony w 1876 roku przez p. Ludwikę Górecką z Lindów (córkę chrześną Niemcewicza), a umieszczony przy Krakowskiej Akademii Umiejętności, jest obecnie otwarty i Akademia podając to do wiadomości publicznej, tak warunki konkursu wyłuszcza: — Prace konkursowe, które powinny być kreślone metodą ściśle naukową i tworzyć całość skończoną, tak w rękopiśmie, czy też ogłoszone już drukiem w czasie trwania konkursu, obejmować mogą prace z zakresu słownictwa polskiego, mogące posłużyć do uzupełnienia Słownika Lindęgo, monografie z zakresu grammatyki, historii języka i dyalektologii polskiej, oraz rozprawy, odnoszące się do związku języka polskiego z innymi słowiańskimi. Termin nadsyłania prac konkursowych, czy w rękopismach, czy jak było wyżej w odbitkach druku, na ręce generalnego sekretarza Akademii, hr. Stanisława Tarnowskiego — przypada na d. 31 Grudnia 1889 r. Nagrody, których jest trzy: za pracę najlepszą 675 rs., za dwie najlepsze po niej po 347 rs. — zostaną przyznane na publicznem posiedzeniu Akademii w pierwszych dniach Maja 1888 roku, a wypłacone dnia 8 Grudnia tegoż roku.

Dzieło uwieńczone powinno być w ciągu roku ogłoszone drukiem i 50 exemplarzy tegoż dzieła autor obowiązany jest nadesłać Akademii. Wrazie gdyby tego zaniedbał, Akademia sama to dokona i prześle autorowi 50 exemplarzy. Gdyby praca nagrodzona była już drukowaną, autor obowiązany jest nadesłać Akademii 50 exemplarzy przed otrzymaniem nagrody.

— Jedna z mieszkanek Lublina, ogłosiła za pośrednictwem „Gazety Lubelskiej“ odezwę do pań lubelskich, czyby w tych czasach trudnych, gdy dochody rodzin zmniejszają się, nie było rzeczą korzystną, założyć wspólnymi siłami i wspólnym kosztem taką kuchnię, w którejby panie, przyjmujące udział w przedsięwzięciu, wyrabiały konfitury, konserwy owocowe, wędliny i tem podobne przedmioty gospodarstwa kobiecego? Przy połączeniu wiadomości posiadanych i wzajemnem udzieleniu ich sobie, możnaby produkować nietylko wszystko to, co domy pań, należących do tego zjednoczenia gospodarskiego, potrzebować mogły, ale i na sprzedaż, dla podniesienia dochodów własnych. Niepodpisana projektodawczyni dodaje, że na najęcie lokalu kuchni, nabycie potrzebnych w niej sprzętów i naczyń, posłużyłoby wpisowe, które każda z pań, chcąc do zjednoczenia należyć, byłaby obowiązana wnieść wedle ustanowionej normy. Wybrać-by także trzeba z pomiędzy zjednoczonych gospodyń kasyerkę, oraz lustratorkę.

Projekt nie jest do pogardzenia, tem więcej, że według brzmienia odezwy, produkta tu wytworzone mogłyby być rozsyłane do innych miast i wsi okolicznych. Stałby się z tego *sklep gospodyń miejskich*, bogdaj szczęśliwiej idący, niż *sklepy gospodyń wiejskich*, które istniejące też niegdys i w Lublinie, tak jak niemal we wszystkich większych miastach Królestwa, i zrazu rozwijające się bardzo szczęśliwie, popadały przecież niedługo. Należałoby jednak pomyśleć o porozumieniu się gospodyń miejskich z wiejskimi, co do nabywania materiałów surowych.

**Na wystawę Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem** przybyły nowe obrazy: H. Reicharda: „Grupa przy moście.“ „Grupa dzieci.“ „Rybaczka.“ „Wenecyanka.“ — L. Horowitza „Portret.“ — W. Gersona „Portret.“ — W. Łosia „Powrót do miasta.“ — N. Pané „Niepoda na morzu.“ — P. Merwarta „Sen Albinki.“ — K. Mireckiego „Portret.“ — W. Gościmskiego „Ojców.“ „Wspomnienie Ojcow.“ „Zwaliska Zamku.“ — K. Pillatego „Wiktor Hugo.“ — A. Piotrowskiego „Polowanie.“ — J. Fałata „Nad herbarzem.“ — E. Andriollego „Choć bieda, to hoć!“ „Potyczka Litwinów z Krzyżakami.“ „Strzyżów.“ „Tu niegdys.“ — J. Maleszewskiego „Typ Polki.“ — R. Kochanowskiego „Krajobraz.“ — Z. Stankiewiczówny „Z pomyslniej wyprawy.“ „Przyjaciele.“ — Dowgirda „Kwiaty na łące.“ — W. Gumińskiego „Droga w lesie.“ — S. Heymana „Portret.“ „Główka kobiety.“ — C. Słupskiego „Z okolic Galicyi.“ — E. Dukszyńskiej „Portrety chłopczyków.“ — Rzeźba: I. Godeckiego „biust s. p. Fabiana.“

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 9-ty powieści pod tytułem: **Wydziedziczony**, przez Łukasza Malet'a, przekład z angielskiego.

**TRESC.** Pogawędka. — Przyczynek do kwestyi emancypacji kobiet, II, (dokończenie), przez M. Ilnicką. — Gniew Boży, powieść, (dalszy ciąg) przez J. I. Kraszewskiego. — Listy z zagranicy, J. I. Kraszewskiego. — Biała róża, (dalszy ciąg), przez Narcyzę Żmichowską. — Kronika działalności kobiecej. — Z Towarz. Zach. Sz. Pięk.

**Dodatek** obejmuje: Arkusz 9-ty powieści pod tytułem: **Wydziedziczony**, przez Łukasza Malet'a. — Przegląd mód. — 24 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie — Dyspozycją stołu.